

Kazimierz Gajewski.

Samosąd.

nowela.

(Z cyklu „O polską — Polskę.”)

Zacnemu Druhowi Edwardowi Zajączkowi — poświęcam

I.

Duszna, ciasna, niska izba. Na ścianach szkli się szron, w powietrzu wznosi się specyficzny wyziew piwnicy.

Północ...

Cisza... przerywana jeno sapaniem śpiących... Raz po raz przerwie ją suchy kaszel, co to zda się, że piersi rozedrze, w strzepy poszarpie...

Zresztą cisza — i półmrok. Pstrzy się małeńka lampka naftowa, obejmując migotliwym płomieniem, te ściany smutne, wilgocią spierlone, postacie śpiące, szare, dziecięce i zgarbioną postać młodej jeszcze kobiety.

Przy tem mdłym świetle, mimo porę tak późną kobiecie sucha, pożółkła, coś szyje. Oczy zapadłe w głąb, otoczone sinością obwódok — pracują.

Te oczy... kobiece, matczyne, te święte oczy, ile łez wylały, ile nocy nie przespąły, wybladłe zmęczone oczy, którym jeszcze winno być wolno cieszyć się krasą życia i nieprzeżytej jeszcze młodości.

W stancji śpi czworo dzieci. Najmłodsze przez sen jeszcze ssalo smoczek, najstarszy, spał snem straszliwego umęczenia, bo już jako dwunastoletni, że był dość rosły, pracował.

„Starego” jeszcze nie było w domu.

Kobieta szyła, łatała portczeta, głowiąc się do czego tu jeszcze łatać przyczepić, co chwila odrywając oczy od roboty, ile razy ciszę rozerwał rozdzierający, piersi dziecięce kaszel.

Za oknem hulał wichur, tnąc w szczyby grudkami śniegu, zrzucającami z dachu, łamiąc gałęzie nagich drzew, wionąc jakąś grozę przedziwną, tajemną, a straszną.

„Starego” jeszcze nie ma. Pewno jest w knajpie, albo „w lokalu”. Żyje

teraz tylko polityką — i pije. Zeszłej soboty, za jego sprawą zbili majstra z fabryki samochodowej, a pojutrze mają się „porachować” z dyrektorem.

Jej Franek jest dziesiętnikiem. Rozdawał odezwy, pilnuje karność w szeregach, jest duszą swojej dziesiątki i nawet innych kółek.

Dłoń Franciszkowej robi szybko ściegi, a szybciej jeszcze mkną myśli — obrazki.

Przychodzą wspominki, kiedy to miała szesnaście wiosen. Należała do kółka różańcowego, w chórze kościelnym śpiewała, zawsze białutko ubrana, lubiana przez wszystkich we wsi. Poznała Franka. Chłopak pogodny, jasny, żywy, wesół — jak iskra. Pokochała go za to wszystko, szła za Franka przez swoją miłość i dla jego miłości.

Jak cudnie było wtedy...

Pierwszy rok — ach Boże! Ile szczęścia! Przyszedł Janek na świat — o radości!

Aż tu strasza wojna!

Zabrali jej Franka. Był w niewoli, uciekł, poszedł do legjonów i... i wrócił...

Bieg myśli przerwał okrutny kaszel Jaśka. Znowu lękliwy wzrok matki w tę stronę. Ale też nic więcej! Bo i co poradzić?

W Kasie Chorych się leczy, niby tam swei „partyjni” rządzą, ale to leczenie, pożałuj Boże.

I tak ścieg za ściegiem, myśl za myślą...

II.

Franek dziś wcześniej wyszedł z fabryki. Miał załatwić jakiś interes „partyjny”...

Na Nowym Świecie minął kogoś elegancko ubranego. Znajoma twarz!...